

Przebieram nogami

Marian Płachecki

Marian PŁACHECKI

Przebieram nogami¹

Zostać przez Henryka Markiewicza nazwanym ignorantem, a nawet erudytą ignorantem, nie jest jeszcze czymś najgorszym, co może człowieka w tym zawodzie spotkać. Bo mogło pójść gorzej. Moje skromne, przez trzydzieści lat bez mała skubione, od przypadku do przypadku dopisywane i przepisywane *Wojny domowe*, mogły tuż po trudnym porodzie zapaść w niepamięć, zanim zdążyłyby wrzasnąć „basta, basta panowie!”. Mogły też okazać się – ku memu niebotycznemu zdumieniu – politycznym pamfletem pióra Rafała Ziemkiewicza piszącego pod przebraniem i historycznym kostiumem. Tymczasem *Wojny domowe* wylądowały na biurku Profesora, autorytetu, nad który w tej dziedzinie i kilku innych nie masz w kraju wyższego, a ten je rzetelnie, choć grube, przeczytał, pokreślił i punkt po punkcie ocenił. Proszę mi wierzyć, przejmuję mnie szczerą wdzięczność i dla Profesora, i dla Redaktora „Tekstów Drugich”, które obszernej recenzji *Wojen domowych* użyły łamów.

Czytam recenzję Profesora i widzę siebie nad brudnopisem *Wojen*, jak przeładuję szczegółami, kompozycję rozwichrzam dygresjami i umajam zbędnymi innowacjami terminologicznymi, przy czym cechuje mnie płynność nazewnictwa, lubując się w dosadnych wyrażeniach i pogardliwych epitetach nie stroniąc od ka-

¹ Odpowiedź na recenzję Henryka Markiewicza (*Antropologia pozytywizmu czy jego czarna legenda*, „Teksty Drugie” 2010 nr 5) z mojej książki *Wojny domowe. Szkice z antropologii słowa publicznego w dobie zaborów (1800-1880)*, Wydawnictwo IFiS PAN, Warszawa 2009.

tachrezy², badaczy pozytywizmu dopadam argumentem *ad homines*, zdarza mi się, niestety, popaść w demagogiczne czepialstwo, wygłaszam sądy ewidentnie fałszywe, insynuacje albo nieuprawnione uogólnienia. Przebieram nogami oraz uprawiam hermeneutykę kreatywną, konfabulacyjną, a wręcz prokuratorską. Moje nie wadzące nikomu, unikające wytaczania dział *Wojny domowe* najwidoczniej wywarły na Profesorze druzgocące wrażenie. Podobnie jak na mnie jego recenzja.

Pomimo to uważam, że z chwilą jej opublikowania wydarzyło się coś ważnego, co ma jeszcze szanse obrócić się w pierwszą od wielu lat poważną dyskusję nad martwym stawem o nazwie „pozytywizm warszawski”. W takiej rozmowie chętnie wezmę udział, jeśli mnie kto zaprosi albo pozwoli.

Chcę też od razu zaznaczyć, że litania uchybień w recenzji Henryka Markiewicza w najmniejszym stopniu nie służy dezawuowaniu, bagatelizowaniu czy ośmieszeniu mojej „konstrukcji pozytywizmu”. Stanowi jedynie miarę intensywności sprzeciwu, jaki owa konstrukcja w Profesorze wzbudziła. Spór idzie na ostre. To nie są palcaty. *Ethos* rycerski nadal obowiązuje.

W świstku niniejszym z konieczności poprzestanę na kilku wyjaśnieniach. Dyskusję nad proponowaną przeze mnie „antropologią słowa publicznego” i jej skutkami dla obrazu pozytywizmu odkładam do innej, tuszę, że nieodległej okazji.

Co najpierw i do końca rzuca się w oczy, to irytacja, jaką w Henryku Markiewiczu budzi „styl pisarstwa Płacheckiego”. Jest to reakcja pożądana i prawidłowa, poczynając już od kwalifikacji: „pisarstwa”. *Wojny domowe* są książką do czytania w byle czym, czytania ekspresywnego, z okrzykami radości, wybuchami śmiechu, przekleństwami i rzucaniem o ścianę. Sześćdziesiąt lat nudziarstwa – z nielicznymi wyjątkami – i walki o dalszy postęp w badaniach nad pozytywizmem ma dziś skutek taki, że studenci na dźwięk nazwiska „Orzeszkowa” wychodzą z sali. Razem zróbmy coś proszę, żeby zostali, a ci, co się nie zmieszczą na liście obecności, poczuli się z czegoś ograbieni.

Styl zwawy³ wybija na powierzchnię mojego tekstu w kilku tylko funkcjach i miejscach. Tam mianowicie, gdzie zależy mi na oddaniu „świata polskiego” w stulecie rozbioru od wewnątrz, z perspektywy anonimowego pozeracza gazet i książek, szalejącego na warszawskim rynku wydawniczym roku 1870, 1871, 1872. Tam również i wówczas przydarza się styl dosadny, gdy ów pozeracz nadziewa się na finfy stylistyczne utalentowanego Aleksandra Świętochowskiego, na jego „czysty i dzielny język młodego zapału”⁴.

Miejsca i zapału tutaj wystarczy mi na jeden przykład. Mowa o literatach warszawskich z przeciwnej strony ulicy: „Każdy z tych olbrzymów jest to kawał mięsa

² Podam przykład: „optymizm zaciśniętej ręki”. Utajonego sensu tej metafory sam boję się dociekać. W książce mowa o „optymizmie zaciśniętej szczęki”, co jest chyba wariantem przyzwoitszym.

³ O „zwawej niezgodzie” jako przesłance polemik „Przeglądu Tygodniowego” pisał Świętochowski w artykule *Młodzi*, „Przegląd Tygodniowy” 1872 nr 23, s. 180.

⁴ [Świętochowski] *Projektomania*, „Przegląd Tygodniowy” 1873 nr 6, s. 41.

zwinęty w postać ludzką – głupota przybrana w szatę arlekina – próżniactwo wypasione dobrą wiarą tych, którzy go ocenić nie chcą lub nie mogą – szkodliwe robactwo gnieźdzące się na łonie literatury”⁵. Jeśli dodać, że ekscesy tego rodzaju są nieodmiennie kalkulowane tak, by nie skaleczyć politycznej prawomyślności pisma i osoby autora, łatwo sobie wyobrazić, co o nich mniemał anonimowy poze- racz w siedem, dziewięć lat po klęsce najokrutniejszego z naszych powstań. W książ- ce staram się opinię tę zaświadczyć również w stylistyce własnej narracji.

Świętochowski nie jest zresztą jedyną postacią tym sposobem w *Wojnach domo- wych* krzywdzoną. Dostaje się także Chmielowskiemu, stańczykom czy Edwardo- wi Lubowskiemu. Obrywają, gdy na to zasłużą – to znaczy wówczas, gdy w swych wypowiedziach manipulują odbiorcą w sposób, który uznają za czytelny dla poze- racza nieco poważniejszego od innych⁶. Co jednak dla mnie ważne, dbałem aby moje metafory nieco śmiałe pojawiały się jedynie w konkluzjach zbierających cy- taty, przykłady czy argumenty omówione uprzednio.

Jeśli powiadam, że – przepisuję za Markiewiczem – „troska o zachowanie tra- dycji jest, według Świętochowskiego, oznaką «plątania się pieluch między nogami młodego człowieka niezdolnego do samodzielnego utrzymania higieny osobistej»”, to dlatego, że kilkanaście stron wcześniej można było w książce przeczytać:

Puer senex Wiślickiego ma za złe kolegom po piórze starszym o lat dziesięć i więcej – infantyizm. Nie tylko im zresztą. Powszechne zdziennienie indukowane przez anoma- lie opinii społecznej, kurczowo pilnującej patriotycznego dekalogu, a w rezultacie popa- dającej w „upartą nietolerancję dla wszystkich głosów opozycyjnych” [...] i stawiającej tamę wszelkiemu „postępowi”, jest stałą udręką Świętochowskiego. (*Wojny...*, s. 317)

Interpretacyjne, tudzież polemiczne konotacje bawelnianej metafory wyjaśniają się do końca o kolejne kilkadziesiąt stron dalej, gdy z myślą o współczesnych re- akcjach na kampanię „Przeglądu Tygodniowego” stwierdzam, że

nazwanie własnych popleczników [...] „młodymi” było oburzającym przejęciem no- menklatury obiegowej w dyskursie publicznym przed i w trakcie powstania styczniowe-

⁵ [Świętochowski] *Pasożyty literackie*, „Przegląd Tygodniowy” 1871, nr 29, s. 233.

⁶ Tu mimochodem wspomnę o rzeczy ważnej, której na paru stronach nie da się rozwinąć. Henryk Markiewicz najwyraźniej przeczytał *Wojny* jako młot na lewicę. Ktokolwiek jednak do książki mimo wszystko wróci, przekona się, że jest to w równej mierze młot na prawicę, a także na konserwatystów, na niewczesne ciągoty mesjanistyczne, na desperatów i optymistów (cywilizacyjnych). W tej książce, trzeba wyznać ze wstydem, nikt nie ma czystych rąk, choć jedni nie mają ich bardziej od innych. Przy pracy nad tekstem trzymałem nad biurkiem makatkę napominającą: „zadaniem historyka jest zrozumieć i okazać węzły sporu”. Jeśli próbuje *ex post* wskazywać, kto ze skłóconych miał całkowitą rację, kto „wygrał” bądź wygrać powinien, wykracza poza standardy zawodu. Nawiasem mówiąc, jestem szczerze recenzentowi zobowiązany za odnotowanie, że «terror patriotyczny» występuje tu w świetle tak ponurym, jak chyba nigdzie w dotychczasowym piśmiennictwie o powstaniach”.

go. Wówczas „młodymi” nazywano [...] konspiratorów prących do walki zbrojnej, „starymi” zaś tych, którzy starcia zbrojnego chcieli albo w ogóle uniknąć, albo je przynajmniej odwlec. Świętochowski przeciwstawienie to – a za nim bodaj cała historycznoliteracka tradycja badawcza narosła po drugiej wojnie wokół „warszawskiego pozytywizmu” – stawia na głowie. (*Wojny...*, s. 373)

Henryk Markiewicz takiego podejścia nie akceptuje. Stylistyka tekstu naukowego ma być przezroczysta. Jeśli nie jest, to widać popada w fałszywe pretensje literackie, jeśli nie w prywatne animozje. Ma bowiem służyć jasnemu przedstawieniu wyводу myślowego, nie zaś pretendować do rangi płaszczyzny ustanawiającej dystans poznawczy wobec przedmiotu.

Ad rem. Henryk Markiewicz, dotknięty, uprasza w swej recenzji, by mu nie imputować „poglądu, że personalny typ narracji doszedł do głosu dopiero w impresjonistycznej powieści młodopolskiej”. Ja jednak w *Wojnach* po prostu odsyłam do strony *pozytywizmu*, gdzie o tej postaci narracji czytamy, że „staje się w pełni widoczna dopiero wtedy, gdy włączymy w krąg naszych rozważań impresjonistyczną powieść młodopolską”⁷. Markiewicz każe mi zajrzeć na poprzednią stronę, gdzie pisze o narastaniu owej „tendencji rozwojowej”, oraz do omówienia *Lalki* Prusa. Dowiaduję się tam, że pisarz „szeroko stosuje narrację personalną”⁸.

Argument „z *Lalki*”, której autor obdarzył swego protagonistę trzydziestu kilku wersjami biografii, powieści traktowanej jako arcydzieło pozytywistycznego realizmu, źle do mnie przemawia, skoro równie dobrze można rzeczoną czytać jako powieść modernistyczną czy wręcz dekadencją⁹. Zresztą i to, co Izabela i Stanisław mają wspólnego z narracją personalną, wypada raczej błado w zestawieniu choćby z wcześniejszą o marne lat sześć czy siedem *Małazką* Gabrieli Zapolskiej. Markiewicz także – wbrew danym tekstu – nie wierzy mi, jakobyśmy we wcześniejszej o kolejną dekadę *Marcie* Orzeszkowej (1873) otrzymywali „brawurowo wykonane ćwiczenie z narracji personalnej” (*Wojny...*, s. 428).

Spór o granice chronologiczne narracji personalnej nie jest niczym przypadkowym ani błahym. Jeśli przyjąć, za czym obszernie w *Wojnach* argumentuję, że promowany w „Przeglądzie Tygodniowym” pozytywistyczny model uczestnictwa

⁷ H. Markiewicz *Pozytywizm*, PWN, Warszawa 1978, s. 108.

⁸ Wyżej cenię uwagi Markiewicza o zrelatywizowanych wobec perspektyw postaci „horyzontach poznawczych” *Lalki* w: H. Markiewicz *Realizm krytyczny w twórczości Bolesława Prusa*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1950, s. 33.

⁹ W roku 1955 Markiewicz podawał w wątpliwość, czy – włącznie z *Lalką* – „cały dorobek realizmu krytycznego lat 1864-1890 umieścić należy w granicach ideologicznych pozytywizmu” (H. Markiewicz *Pozytywizm a realizm krytyczny*, „Pamiętnik Literacki” 1955 z. 2, s. 406). W fascynującym szkicu *Bolesław Prus a pozytywizm warszawski*, „Rocznik Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza” 1981 t. 16, pokazywał, jak Prus w *Lalce* dystansował się wobec programu i środowiska pozytywistów (por. s. 54-55). Pełna zgoda. Moim zdaniem umieszczenie akcji powieści na przełomie lat 1878 i 1879 ma swoją wymowę.

w kulturze Królestwa Polskiego rozpadł się w roku 1878 wraz z podpisaniem przez potęgę europejskie wieńczącego Wojnę Wschodnią traktatu berlińskiego, zapada się w niebyt cała nasza wyuczona chronologia „literatury okresu pozytywizmu”¹⁰. Co począć z powieścią realistyczną...? Co z naturalistyczną...? Co z sukcesją prądów i okresów literackich...? Czy dekadentyzm wyprzedzał „dojrzały realizm”, czy mu towarzyszył, czy też, jak ogólnie wiadomo, po nim następował...? Tu leżą głębokie źródła sprzeciwu Henryka Markiewicza, autora kanonicznego *Pozytywizmu*, wobec *Wojen domowych*.

Wiele szczegółowych zarzutów recenzenta sprowadza się, by tak rzec, do imputowania imputowania. Ja widzę i opowiadam, że coś w tekście jest. Henryk Markiewicz pokazuje, że nie ma.

Pisze recenzent:

Cała konstrukcja fabularna *Marty* Orzeszkowej pokazuje, że bohaterka nie może znaleźć czy utrzymać pracy albo dlatego, że nie ma profesjonalnego przygotowania, albo dlatego, że istnieje niechęć do zatrudniania kobiet w niektórych zawodach. Płachecki temu nie przeczy, ale twierdzi, że jeśli „potraktujemy rzecz tę poważnie, zobaczymy w tej powieści nie tylko i nie głównie zbeletryzowany głos w debacie feministycznej [...], lecz krytyczną diagnozę sytuacji na rynku pracy, w którym dla kobiet miejsc brak, to prawda, ze względu na zasadnicze luki w ich wykształceniu, ale też dlatego, że w gospodarczej rzeczywistości postyczeniowej pracy generalnie nie ma” [...].¹¹

Po czym wywód Płacheckiego grzęźnie w wykładzie o kryzysie na rynku pracy. „Wszystko to prawda, ale są to informacje dopisane do powieści [...]”, bezlitośnie pointuje recenzent.

Na co odpowiem, że przecież w tekstach, jak rzecz się ma z *Martą*, skazanych na nieobliczalną cenzurę, całkiem często ważniejsze okazuje się to, czego w nich (dla cenzora i nieuważnych) nie ma, aniżeli to, co w nich (dla cenzora i każdego) jest, wyłożone na wierzch. Powieść Orzeszkowej od pokoleń pada ofiarą feministycznej fiksacji krytyków obu płci. Tymczasem w porządku myślowym tej niebywałej powieści zestawienie ludzie – kobiety jest równie ważne, jak mężczyźni – kobiety. Scena w sklepie bławatnym, z fruującymi po ścianach zabójczo przystojnymi, a zarazem zniewieściałymi subiektami, znajduje swój odpowiednik w scenie z magazynem sukien, gdzie „pracownice są na swoich bieżących zadaniach skoncentrowane w stopniu graniczącym z histerią” (*Wojny...*, s. 428). Mamy też w powieści ojca „panny Emilii”, co po stracie urzędniczej posady, miast ochoczo

¹⁰ Cezura 1878 nie jest zresztą w tradycji badawczej niczym nowym, a w krytyce marksistowskiej była wręcz stałym źródłem zgrzyoty. Próbowano sobie z nią radzić, a to wiążąc ją z przybyciem do Warszawy Ludwika Waryńskiego z sześcioma tysiącami broszur socjalistycznych pod pachą, a to z nagłą eksplozją industrializacji w Królestwie, a to wreszcie z przeobrażeniem afirmatywnego względem burżuazji pozytywizmu w krytyczny względem niej (i niego) realizm krytyczny – krytyczny wobec kapitalizmu.

¹¹ Poprawiam cytat z *Wojen...*, nieznacznie w recenzji zniekształcony.

przystąpić do pracy gdzie indziej, z rozpaczny pochorował się biedaczysko i teraz vegetuje na pograniczu życia i śmierci (*Wojny...*, s. 415).

Tym razem także, wbrew wszelkim pozorom, nie idzie o seminaryjne kontrowersje wokół powieściowej i historycznej skali bezrobocia w Warszawie wczesnych lat 70. XIX wieku. Moja interpretacja odsłania w powieści daleko posunięty, niejawni acz dramatyczny, gdy zważyć, iż całość kończy się samobójstwem tytułowej postaci, sceptycyzm autorki wobec pozytywistycznej gloryfikacji pracy. Cóż mi po wezwaniach „praca i praca, najpierw i zawsze, pamiętaj: praca!”, skoro żadnej pracy zwyczajnie nie ma? Jakież jest rzeczywisty sens tych w nieskończoność powtarzanych przez „młodą prasę” apeli, jeśli nie zachęta, by wyzbywszy się zbędnych skrupułów szukać owej mitycznej pracy tam, gdzie ona rzeczywiście jest i czeka, to znaczy na rynku rosyjskim? Henryk Markiewicz najzwyczajniej konkluzji tej nie przyjmuje do wiadomości.

Podobnie zresztą, jak innych węzłowych tez książki. Wyliczając najpobieżniej:

- 1) Warszawscy pozytywiści, z którymi dziś wyłącznie kojarzymy hasło „pracy organicznej”, w istocie rzeczy postawili je na głowie, wbrew całej jego uprzedniej historii, sięgającej początków Towarzystwa Przyjaciół Nauk.
- 2) Spory o to, czy pozytywiści byli lojalistami, czy tylko legalistami, pozbawione są sensu, zważywszy na nieustanne fluktuacje obowiązującego w powstaniowym Królestwie Polskim systemu prawnego. Dopóki system ów trwał, dopóty nigdy wręcz nie można było z góry przewidzieć, co będzie legalne, to jest wedle arbitralnej decyzji urzędnika pomieścić się w granicach prawa, a co także się nielegalne i karalne.
- 3) Podobnie nikłą wartość mają sofistyczne wywody osłaniające redakcję „Przeglądu Tygodniowego” przed posądzeniem o panslawizm w roku 1876, skoro było to wówczas jedyne w Warszawie pismo cieszące się zezwoleniem władz na własne komentarze zagraniczne.
- 4) Przypuszczać, że po klęsce krwawego powstania jedynym problemem piszących do druku było omijanie surowych zakazów cenzuralnych, jest grubą naiwnością. Równie poważnym ograniczeniem było ciążenie opinii patriotycznej czy też skonfliktowanych wzajemnie kryteriów patriotycznej poprawności. O czym pamiętając, musimy dopiero uczyć się czytać w tekstach z epoki to, czego w nich nie zobaczymy, dopóki biegle nie rozpoznamy bieżącego kontekstu, w jakim funkcjonowały.
- 5) I wreszcie teza najważniejsza może. Historycy literatury krzątający się wokół twórczości lat 1864-1904 odruchowo przyjmują, że powstanie styczniowe odbyło się, dokonało i z miejsca przepadło w annałach narodowej historii. A potem możemy już tylko badać późniejsze postawy i oceny tradycji powstaniowej, tak jakby powstanie żadnych następstw psychicznych i społecznych nie zostawiło. Czemu nie mogę się dość nadziwić, widząc co dzieje we własnych zachowaniach i reakcjach czytelny ślad wojennej traumy odziedziczonej po rodzicach, którzy już od dawna nie żyją. Ślad czytelny po sześćdziesięciu sześciu latach. O tym też są *Wojny domowe*.

Abstract

Marian PLACHECKI
Warsaw School of Social Psychology

Going overboard

Marian Plachecki responds to Henryk Markiewicz's charges (cf. *Teksty Drugie*, 5/2010) with respect to his book *Wojny domowe. Szkice z antropologii słowa publicznego w dobie zaborów (1800-1880)* ['Civil Wars: Essays in Anthropology of the Public Word in the Age of Poland's Partitions (1800-1880)']. Plachecki approaches Markiewicz's commentary as the opening of a discussion on the critical condition of research on positivism in the history of Polish literature and culture. Ideological preferences continue to weigh down on current research; as a consequence, there appears an effort to justify 'the Left' at the expense of other actors on the public scene, which was extremely polarised following the events of the January Uprising. A historian's task is nonetheless to understand and demonstrate the quandaries of a dispute, rather than to solve it by indicating who was allegedly right.